



Szczepkowska

Krótką rozmowa o wyższych wartościach

Mógł mieć od 30 do 50 lat – życie wymyło z niego wszelkie właściwości – gdybym wyszła, zobaczyłabym w sąsiednich przedziałach takich samych mężczyzn. Wciśnięci w służbowe marynarki, skacowani, spracowani, niedospani.

Ten człowiek wszedł do przedziału, usiadł i zamknął oczy. Na chwilę przedtem zarejestrował moją obecność i książki rozrzucone wokół mnie. Na jednej z nich widoczna była fotografia ładnej kobiety z zamyślnym wyrazem twarzy i napis: „Maria Skłodowska-Curie”. Nagle z głębi jego brzucha odezwał się kawalek marsza Mendelssohna. Mężczyzna zerwał się na równe nogi, trząsł marynarką, macał się po spodniach, a brzuch uparcie grał marsza. Wreszcie z zakamarka jego ubrania wyskoczyła komórka. Złapał ją w locie i natychmiast zaczął mówić:

– No, cześć. Mam piętnaście, a dwanaście to jest górka, czyli jak piętnastego będę miał sześć, to będzie pół po pół. Około pierwszej. O drugiej dwa. No to o trzeciej. Wtedy szesnaście od czwartego. Cześć.

Mężczyzna rzucił komórkę tak silnie, że broszurka o Marii Skłodowskiej-Curie spadła mi na podłogę.

– Sorry – powiedział i podniósł książkę, patrząc na fotografię.

– A co pani ta kobieta zrobiła, że pani o niej czyta? – zapytał dowcipnie.

– Nic. Ja się po prostu nią interesuję.

– Pani jest z tej branży? Chemik czy coś w tym stylu?

– Nie. Ja jestem z innej branży. Czytam z ciekawości. Ale ciężko mi było czytać. Mężczyzna patrzył na mnie, jakby zobaczył UFO. Wodził wzrokiem po książkach i ze zdumieniem odkrywał, że wszystkie dotyczą Skłodowskiej-Curie. Wreszcie zamknął oczy. Patrzyłam na jego czoło. Pojawiały się na nim fale, kreski, linie pionowe i poziome. Najwyraźniej wrzucił do mózgu hasło „Maria Skłodowska-Curie” i czekał na połączenie. Nagle jego twarz rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

– No tak! To ona podobno trochę tego była!

– Tego?

– No... romansowa kobieta – patrzył na mnie wyraźnie ożywiony. Już nie chciało mu się spać.

– I szczęście kobita miała.

– Szczęście? Panie! Jakie szczęście? – starałam się opanować. – Ona mieszkała na szóstym piętrze bez

ogrzewania, codziennie dźwigała węgiel, spała pod własnymi ubraniami, żeby nie zamrznąć, przerabiała 20 kilo dziennie blendy smolistej, mieszając to własnymi rękami w radioaktywnych oparach, w dymie, w zimnie, tylko po to, żeby po latach takiej harówki wydobyć jedną milionową radu! I pan to nazywa szczęściem?

– No, nie wiem. Ja słyszałam o jakichś romansach – mężczyzna zamknął oczy, a ja myślałam, że gdybym go tak teraz zadusiła i przesiadła się do innego przedziału, nikt by mnie nie podejrzewał.

Patrzyłam na rozrzucone książki z biografią Marii. Ze zdjęciami z młodości, kiedy jako młodziutka Polka jechała na wieś uczyć dzieci, żeby utrzymać własnego ojca. Czy mogła przewidzieć, że dzięki swojej katorżniczej pracy przy gorących kotłach smoły stanie się osobą publiczną i jej życie będzie się rządziło prawami życia sław? Że po latach skacowany idiota skojarzy ją tylko z romansem z Langevinem? Życie osób publicznych ma to do siebie, że każde zjawisko zostaje w anegdocie wielokrotnione i urasta do problemu. Osoba publiczna z kieliszkiem w ręku staje się alkoholikiem. Z pieskiem na smyczy – miłośnikiem zwierząt. Z jednym miłosnym przeżyciem – nimfomanką.

– Ona, proszę pana, była pierwszą kobietą wykładającą na Sorbonie, pierwszą kobietą, która zrobiła tam doktorat, pierwszą kobietą, która dostała Nobla, jedyną, która ma dwa Noble...

Mężczyzna zdradzał objawy znudzenia:

– A taki Nobelek. Ile to jest kasy?

– Nie wiem. Wiem tylko, że gdyby Maria i Piotr Curie opatentowali rad, byłiby niewiarygodnie bogaci.

Czoło mężczyzny znowu poodało się zmarszczkami:

– A dlaczego nie opatentowali?

– Bo uważali, że ich odkrycie powinno służyć nauce. Bez ich prywatnej korzyści. Taka była Maria Skłodowska-Curie.

Mężczyzna oparł się o fotel i długo patrzył na przeciwległą ścianę. Potem spojrzał na zdjęcie Marii i powiedział do siebie:

– No, teraz to ta babka już mnie zupełnie rozczarowała.

I zasnął.

• JOANNA SZCZEPKOWSKA